

# ROK 1944 PIEKŁO, KTÓRE NICZEGO NAS NIE NAUCZYŁO

Niemcy wypędzili nas ze szpitala i postawili pod murem, naprzeciwko karabinu maszynowego, ale ich dowódca zmienił zdanie i kazali nam biec przed siebie. Uciekliśmy. „W życiu już w to piekło nie wejść” – pomyślałam, ale wtedy pediatra profesor Bogdanowicz powiedział: „Tam zostali ranni. Kto idzie?”. Powiem szczerze – bardziej się bałam tego, co pomyśli o mnie profesor, gdy nie pójdę, niż tego, że mnie zastrzelą

Z MARIA MOSTOWSKA\* rozmawia BOŻENA AKSAMIT

**O**d ponad 90 lat budzi się pani i ma za oknem ten sam widok. W Warszawie to niespotykane.

– Trochę się zmienił, w latach 30. na Sadybie były głównie łąki. Powstały tu dwie osady zbudowane przez spółdzielnię Sadyba: osiedle dla kadry oficerskiej i drugie, z willami-dworkami, dla urzędników. Rodzice zamieszkali w tzw. bloku oficerskim. Oprócz wojskowych wprowadzili się tam także urzędnicy, naukowcy i artyści, tata był mikrobiologiem. Nasza sześcioklatkowa kamienica była największym budynkiem w okolicy. Dziś Sadyba to środek miasta. Nie ma także tramwaju, którym jeździłam jeszcze przed wojną do centrum – zniknął w latach 70.

**Cale swoje niezwykle życie spędziła pani w Warszawie.**

– Dlaczego niezwykle? Skromne i bardzo normalne. Zdarzyło mi się kilka niesamowitych zbiegów okoliczności – można nazwać je cudownymi – ale w czasie wojny podobne historie zdarzały się częściej. Moje pokolenie odchodzi w przeszłość, właściwie została nas tylko garstka.

**Co robiła pani 1 sierpnia 1944 r.?**

– Wszyscy czuliśmy, że coś wisi w powietrzu. Armia Czerwona stała za Wisłą, skąd słychać było czasami głucho dudnienie. Kiedy koło godziny pierwszej jechałam ulicą Towarową, zaczęła się strzelanina. Wszyscy wysko- »



czyli z tramwaju i zaczęli go przewracać, żeby zrobić barykadę. Scho- wałam się do bramy, bo strasznie strzelali, ale pomyślałam, że zwario- wałam chyba – będę siedzieć i czekać? Mimo urlopu pobiegłam prosto do dziecięcego szpitala Karola i Marii na Woli, gdzie pracowałam jako pielęgniarka. Tam poczułam się bezpieczna, wiedziałam, co mam ro- bić – już przynoszono pierwszych rannych. Zaczęło się powstanie war- szawskie.

Szpital był zawalony rannymi. Leżeli na korytarzach, podłodze, łóż- kach. Dzieci nie było dużo, około pięćdziesięciorga. Nastrój w lipcu był taki, że te rodziny, które mogły, to je zabierały, zostały głównie te z sie- rocińców. Wszystkie zgromadzono w jednym pawilonie od ulicy Żyt- niej. Szpital był bardzo nowoczesny i składał się z niewielkich budyn- ków z dużymi oknami, te budynki stały w wypielegnowanym ogrodzie otoczonym murem. Gdy wybuchło powstanie, pozostałe pawilony za- mieniono w oddziały chirurgiczne i ratowano rannych. Trwało to sześć dni.

#### **I pojawili się Niemcy.**

– Byłam akurat w pawilonie z dziećmi. Nadal słyszę te straszne ryki: „Raus, raus, raus!” – jakby krzyczały jakieś bestie. Na chirurgii zabili kilku lekarzy, a z naszego pawilonu wywiekli wszystkie pielęgniarki. Każda z nas zabierała dzieci, ale ile można ich złapać? Ja wzięłam na ręce sparaliżowaną dziesięcioletkę, koleżanki łapały niemowlęta, niektóre po dwoje. Było nas pięć, Niemcy ustawili nas pod murem, a naprzeciwko karabin maszynowy.

#### **Pamięta pani emocje z tamtej chwili?**

– Proszę sobie wyobrazić scenery: domy wokół się palą, ogień huczy, gorąco od płomieni. Człowiek w takiej sytuacji już nic nie czuje. Czekaliśmy pod tą ścianą na śmierć. Najwyraźniej jakiś niemiecki dowódca roz- myślił się i żołnierze kazali nam biec przed siebie. „W życiu już w to pie- kło nie wejść” – pomyślałam, gdy tylko weszliśmy do budynku szpitala przy Płockiej, gdzie nas skierowano. Wtedy zjawił się pediatra profesor Jan Bogdanowicz i spytał: „Tam zostali ranni. Kto idzie?”. Powiem szcze- rze – bardziej się bałam tego, co pomyśli o mnie profesor, gdy nie pójde, niż tego, że mnie zastrzelą.

Pobiegliśmy we cztery, wzięliśmy na nosze chłopaka, który miał urwaną nogę, na pierś położyliśmy mu niemowlę, bo Niemcy powyrzu- cali dzieci na trawnik. Potem pobiegła następna czwórka, w sumie prze- nosiliśmy może z ośmiu rannych. Musiałyśmy przestać, bo Niemcy za- bronili nam wchodzić. Na parterze urządzili swój szpital, na piętrze trzy- mali Polaków: chorych, lekarzy i pielęgniarki.

Wiedzieliśmy, co dzieje się dookoła, ale trzeba było się ogarnąć, po- konać rozpacz i walczyć o życie ludzi, którzy byli pod naszą opieką. Nie było wody, jedzenia, lekarstw. Dokonywaliśmy tam rzeczy niemożliwych, ale i tak wszystkie niemowlęta, które uratowaliśmy, umarły z głodu.

#### **Jak żyć po czymś takim?**

– Czy życie naznaczone taką traumą zamieni się w piekło, czy też po jakimś czasie człowiekowi uda się osiągnąć równowagę, zależy od odporności psychicznej. Na pewno wojna nikogo nie zostawiła takim samym. Ja miałam dużo szczęścia i przeżyłam – prawa statystyki, nic więcej.

Niektóre historie się zacierają, ale wiele pamiętam bardzo dokładnie, nawet wyraz twarzy ludzi, którzy brali w nich udział. Poza tym, pewnych rzeczy po prostu nie można zapomnieć. Tym bardziej oburza to, co dzia- siaj dzieje się wokół powstania czy okupacji. Łatwo osądza się ludzi – źle zrobił, dobrze zrobił, zdrajca, oszust. Tak nie można, bo przecież w dra- matycznych okolicznościach decyzje często podejmuje się w ułamku se- kundy. Nie każdy jest bohaterem. Co zresztą znaczy bohaterstwo w ta- kich sytuacjach?

#### **Co na przykład?**

– Wśród chorych w szpitalu przy ulicy Płockiej była młoda matka, któ- rej dziecko zostało zabite. Ciągle miała pokarm i przystawiliśmy jej do



piersi uratowane niemowlę. Karmiła i na główkę dziecka le- ciały jej łzy, wielkie jak groch. Nie mogę tego zapomnieć.

Ale zdarzały się również historie niemożliwe. Z czasem zaczęliśmy obserwować, jak Niemcy prowadzą ludzi z War- szawy, szły całe pochody. Wybiegałyśmy w kilka, brałyśmy fartuchy z napisem „Arzt” (lekarz) i wyciągałyśmy głównie młodych ludzi, bo oni byli najbardziej narażeni na prze- śladowania. Jednym z ocalałych był młody lekarz. Został i pracował z nami, ale był bardzo smutny, strasznie rozpa- czał. Spytałam go dlaczego, i okazało się, że jego żona z dwójką małych dzieci została w mieszkaniu, i nic o nich nie wie. Namówiłam go, żeby pobiegł z nami do tych po- chodów, to może spotka kogoś znajomego. Poszliśmy i on spotkał żonę z dziećmi! Przeszmuglowaliśmy ich oczywi- ście do szpitala. On, mężczyzna, strasznie płakał. Co to by- ło za szczęście!

#### **Pani też przytrafił się cud.**

– Doskonale pamiętam ten dzień. W szpitalu pojawiła się obca osoba – niemłoda, duża kobieta ostrzyżona po męsku. Przyszła z Pruszkowa lub Milanówka, by dowiedzieć się, co się dzieje na Woli, bo przychodziły do nich wieści, że wszyst- kich wymordowano. W znacznym stopniu było to prawdą, moi rodzice też dostali wiadomość, że ja nie żyję.

Ta kobieta poszła rozmawiać z lekarzami, a my, kilka pie- lęgniarek, byłyśmy strasznie ciekawe, co się dzieje. Po chwi- li wyszedł doktor Bogdanowicz i powiedział, że jest do mnie list. Kobieta przyniosła trzy listy do trzech osób, w tym jeden do mnie. Od narzeczonego Staszka Mostowskiego. To była kartka z notesu: „Jestem w Milanówku. Przyjdź, jeśli mo- żesz?”. Znajomy powiedział mu, że ktoś idzie do Warszawy, i poradził: „Co ci szkodzi, napisz kartkę”. Staszek list dał te- mu znajomemu, ten znajomy dał znajomemu, potem był ca- ły łańcuszek ludzi i list trafił do szpitala. Poszłam od razu do



lekarzy zapytać, czy mogę wyjść. Było już bardzo dużo personelu medycznego i usłyszałam, że jak się taki cud zdarzył, to mogę iść.

Był wieczór, z jeszcze jedną koleżanką i kurierką, która musiała wrócić z wiadomościami, wyszłyśmy na ulicę Górczewską. Warszawa pusta, spalona, wszyscy ludzie zostali już stamtąd wypędzeni. Doszliśmy do przejścia pod torami i rozległy się straszne wrzaski, byli to najpewniej bandyci ściągnięci do pacyfikiacji powstania – kryminaliści z brygady Dirlewangera albo ludzie z oddziałów złożonych z kolaborantów z Białorusi, Ukrainy, Rosji. Kiedy już zęgnaliśmy się z życiem, rozległ się tętent koni i wyjechała bryczka z czterema chyba oficerami niemieckimi. Zaczęli strzelać w powietrze i odpędzili bandytów, a my uciekłyśmy. Dotarłyśmy do Jelonek, tam przenocowałyśmy i następnego dnia spotkałam się ze Staszkiem.

**Staszek? Pani mąż miał na imię Andrzej i był wybitnym matematykiem, doktoryzował się jako 25-latek, rok przed wojną.**

– Bliscy mówili na niego Staszek. Poznaliśmy się na tajnym uniwersytecie, on tam uczył. Wcześniej skończyłam szkołę pielęgniarstwa. We wrześniu 1940 r. Niemcy zgodzili się na jej otwarcie w Warszawie. Założyli ją Amerykanie w 1918 r. Bardzo dobrze kształciła pielęgniarki. Przyjmowano wówczas dziewczyny po małej maturze, którą zdawało się po czterech latach gimnazjum, bo nie uprawniała do studiowania, ale w 1940 r. rzuciły się na to głównie maturzystki, czyli absolwentki liceów. Szkoła trwała dwa lata i uczyli tam profesorowie Akademii Medycznej, bo zamknięto wszystkie uczelnie. Gdy ją skończyłam, poszłam do pracy w szpitalu dziecięcym, o której marzyłam, i od razu na tajny uniwersytet. Na matematykę chciałam iść po maturze, ale wybuchła wojna. Ten kierunek uruchomiono na tajnym uniwersytecie w 1942 r.

**Jak pani się o nim dowiedziała?**

– Dzięki tzw. agencji informacyjnej JPP, czyli „Jedna Pani Powiedziała”. Różne wiadomości rozchodziły się wtedy lotem błyskawicy – ludzie byli bardzo zintegrowani, pomagali sobie. Pojechałam do mojego starego liceum imienia Kochanowskiego, które wtedy funkcjonowało jako szkoła ucząca kaletnictwa, ale „pod ławkami” odbywała się nor-

## **\*MARIA MOSTOWSKA**

– po wojnie skończyła matematykę. Urodziła trójkę dzieci. Do emerytury pracowała w bibliotece PAN. Ma troje dzieci, pięcioro wnucząt i siedmioro prawnucząt – wszyscy mieszkają na stałe w Warszawie

## **ANDRZEJ STANISŁAW MOSTOWSKI**

– ur. w 1913. Jeden z najwybitniejszych polskich matematyków. Po wojnie pracował w Instytucie Badań Zaawansowanych w Princeton, wykładał na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley i w All Souls College w Oksfordzie

malna nauka. Moja dawna dyrektorka podała mi adres, a tam dostałam datę i godzinę, gdzie mam się zgłosić. To było w alei Niepodległości.

O godzinie drugiej czy trzeciej po południu szłam ulicą Chałubińskiego, a potem aleją Niepodległości, i zobaczyłam obok mnie innych młodych ludzi. Coraz więcej. Zezłościło mnie to bardzo, bo wśród nich były chłopaki, które nosiły wysokie oficerskie buty. To niesło duże ryzyko, bo Niemcy tego nie cierpieli. Jak ja doszłam do tego adresu, to zobaczyłam na podwórzu już cały tłum. Na trzecim piętrze w jednej z klatek schodowych ustawiono biurko i dwie panie przyjmowały zapisy. Dostałam karteczkę z informacją, kiedy i gdzie będzie pierwszy wykład, „a dalej to już sobie będziecie tam sami ustanawiali”.

**I gdzie był ten wykład?**

– W mieszkaniu profesora Sierpińskiego przy ulicy Marszałkowskiej. Wykłady odbywały się trzy czy cztery razy w tygodniu. Mieliśmy świetnych wykładowców, studentów było około dwunastu. Przez dwa lata spotykaliśmy się w prywatnych mieszkaniach. Na przykład parę tygodni przy alei Niepodległości u jednego znajomego chłopca, potem »

przy Wroniej albo u profesora Tatarkiewicza, bo jego syn był moim kolegą ze studiów.

Wykłady często odbywały się przy karbidówce, bo światło elektryczne było tylko dwie godziny dziennie – od szóstej do ósmej albo od ósmej do dziesiątej, na zmianę. Pamiętam wykład profesora Sierpińskiego, który był człowiekiem starszym, poważnym. Miał zwyczaj pisać na tablicy i ścierać. Co napisał, to ścierał, więc wszyscy byliśmy stale pochyleni nad zeszytami. Piszemy, a tu karbidówka wybucha. Płatki sadzy lecą po pokoju, wszystko umazane na czarno, gospodarz czyści tę sadzę, ktoś biegnie po nową karbidówkę, a profesor cały czas pisze i zmazuje, bez chwili przerwy. **Miełście po 20 lat i staraliście się nie rezygnować z marzeń, planów. Jednak starło ktoś znikal.**

– Dużo osób zamordowano, wywieziono do obozów. Mój brat, który działał w podziemnym harcerstwie, został wydany przez jakiegoś drania i w 1943 r. zatrzymało go gestapo. Miał 18 lat, najpierw był na Pawiaku, potem wywieziono go do Oświęcimia, po trzech miesiącach trafił do obozu koncentracyjnego Mauthausen, leżącego w pobliżu największego austriackiego kamieniołomu granitu. Na szczęście brata skierowano do podobozu w Gusen, gdzie pracował w stolarni. Zostali wyzwoleni przez Amerykanów, ale on do Polski już nie wrócił. Zatrzymał się u krewnych w Anglii, skończył London School of Economics, ożenił się z Francuzką, a jego profesor zarekomendował go na uniwersytet w Vancouver w Kanadzie. Zrobił karierę, był profesorem, doradcą rządu, ale nigdy nie wyzwołał się z wojennej traumy. Nigdy nie opowiadał, co przeżył. Chciał zapomnieć o swojej przeszłości i o Polsce.

#### **A pani rodzice?**

– Mama skończyła konserwatorium i była nauczycielką muzyki, tata – mikrobiologiem, docentem na SGGW. Podczas okupacji pracował w jakimś zakładzie, który działał na terenie uczelni. Dorabiał, produkując z kolegami jogurty i bimber. Poza tym hodowali bakterie tyfusu, którymi zarażali mleko idące na potrzeby armii niemieckiej.

Czy pani wie, że słowo „bimber” pojawiło się w czasie wojny? Przedtem mówiono „samogon”, „gorzałka”. Bimber wywodzi się z warszawskiego żargonu złodziejskiego i początkowo oznaczał ukradzione rzeczy znalezione przy złapanym złodzieju.

#### **Tata działał w podziemiu?**

– Tak, był w AK i musiał się ukrywać. Głównie przy ulicy Filtrowej, w mieszkaniu żony jego brata, który wyjechał z Polski w 1939 r. Ja też czasami tam nocowałam, gdy nie mogłam zdążyć z powrotem do domu, bo tu szpital, tu studia, tam korepetycje, jeszcze coś do załatwienia. Oprócz cioci i taty mieszkała tam nasza była gosposia, która zajęła się szmugłem i sprzedawała w tym mieszkaniu rąbanek, oraz stara Żydówka, przyjaciółka rodziny. Ciotka zajmowała się redagowaniem artykułów do „Biuletynu Informacyjnego” – rano przychodzili do niej z nasłuchami, które ona spisywała na maszynie przez kalki. Koło godziny pierwszej przychodziło kilka pań – to były łączniczki, które te materiały zabierały. Całe mieszkanie było zawalone tymi kalkami, kartkami i nikt nie wpadł, wszyscy przeżyli wojnę. Był tam dozorca, bardzo porządny człowiek. Uratował życie wielu poszukiwanym przez gestapo.

#### **Wszyscy ryzykowaliście.**

– Ryzyko było codziennością. Jednak życie nawet w takich mrocznych czasach bywa komiczne. Opowiem historię. Akurat odwiedziłam ciocię i nagle zrobiło się potwornie nerwowo. Przybiegł dozorca i mówi, że widział, jak podczas łapanki na Filtrowej do budy wrzucono łączniczkę, która miała ze sobą materiały. Co robić? Trzeba szybko zawiadomić różne osoby, żeby się ukryły! Ale zanim ktokolwiek ruszył się z mieszkania, łączniczka wróciła. To była niemłoda pani, która wiedziała, że nie przetrzyma tortur, i zawsze miała ze sobą cyjanek potasu. Zażyła go w tej budzie, ale najwyraźniej był zwietrzały i nie umarła, tylko dostała okropnej biegunki. Niemcy, którzy byli zawsze bardzo czysti, obrzydzeni się i wyrzucili ją na

ulicę razem z tymi materiałami. Naprawdę, tragizm przeplatał się z komizmem.

Dlatego jako świadek tamtych wydarzeń nie mogę obojętnie przechodzić obok wypowiedzi ludzi, którzy z niewiedzy albo z cynicznego wyrachowania czy chęci zaistnienia fałszują historię. Kimkolwiek są ci ludzie, którzy zabierają publicznie głos i wydają arbitralne sądy – wydaje im się, że wszystko wiedzą, a tak naprawdę nie zdają sobie sprawy, jak bardzo tamta rzeczywistość była skomplikowana.

#### **Co panią tak oburza?**

– Traktowanie przywódców Polski Podziemnej jako obłąkańców lub zdrajców przyjmuję jako osobistą zniewagę. Przed wybuchem powstania nienawiść warszawiaków do Niemców była tak wielka, że tylko człowiek niemający pojęcia o tamtych czasach może sugerować coś podobnego.

Gdy powstanie wybuchło, wszyscy poczuli coś na kształt wewnętrznego przymusu, aby wziąć w nim udział. Nikt nikomu nic nie kazał, do niczego nie zmuszał. Oczywiście, że dużo ludzi siedziało w piwnicach, bo byli starsi albo mieli małe dzieci. Ci, którzy nie poszli się bić, a była ich większość – robili wszystko, żeby przeżyć. Jednak nikt nie miał pretensji. Powiem więcej: także cywile byli głęboko przekonani, że tak należało zrobić. Łatwo jest dziś ferować wyroki, trzeba było pożyć w tamtych czasach.

#### **Jednak cena tego zrywu była wyjątkowo wysoka.**

– Tak, to była wielka tragedia i żadne słowa nie są w stanie jej opisać. Ale czy dziś można oceniać osoby odpowiedzialne za wybuch powstania? Nie wierzę, że ich decyzje były dyktowane jakkolwiek „zdradą”, jak imputują niektórzy. Oczywiście, ta decyzja jest kontrowersyjna, ale nie była prosta. W naszych głowach, pokolenia urodzonego w II RP, tkwiła tradycja powstań, które kończyły się tragicznie, więc liczone się z tym, że i tym razem danina krwi będzie wysoka. Jednak panowało powszechne przekonanie, że się na nią zgadzamy i walczymy. Niektórym z polskich historyków czy publicystów trudno jest uznać coś, co dla Brytyjczyka Normana Daviesa jest oczywistością. We wstępie do „Powstania '44” napisał, że gdyby miał 15 lat i żył w Warszawie, poszedłby walczyć.

#### **Jakie nastroje panowały potem?**

– Jak powstanie upadało, a nad Warszawą snuły się dymy, ludzie byli zupełnie złamani. Na szczęście instynkt daje człowiekowi napęd, który rano podnosi go z łóżka i każe ruszyć w życie – mimo wszystko.

Polacy byli bardzo pognębieni powstaniem, usiłowali jednak odbudować jakoś życie, a przez kilka pierwszych lat po wojnie wszyscy głównie szukali się nawzajem. Nie pamiętam gniewu czy złości na powstanie albo na ludzi, którzy o nim zdecydowali. Pamiętam wściekłość na Rosjan, którzy rozstrzelali przywódców powstania, a gdy zaczął się okres terroru i aresztowano, a potem mordowano mnóstwo niewinnych ludzi, zaczęto zwyczajnie się bać. Polacy ledwo co wydostali się ze szponów jednej szalonej ideologii, by spaść w łapy następnej.

#### **A dookoła zgłiszcza.**

– Zaraz po wojnie pojechaliśmy z mężem na zjazd matematyków do Pragi. Przyglądałam się z podziwem miastu. U nich pod koniec wojny też było powstanie. Mój przewodnik, Czech, był trochę zawstydzony, gdy tłumaczył mi, że trwało jeden dzień – jedna kamienica została zniszczona



Fotory z filmu  
„Powstanie  
Warszawskie”  
- zrealizowanego  
z archiwalnych  
kronik powstania

i zginęła jedna osoba. U nas powstały takie straszne zniszczenia i zginęło tyle ludzi, i pamiętam to gorzkie uczucie – dlaczego? To są emocje trudne do opisanja.

Chcę powiedzieć o jeszcze jednej sprawie związanej z okupacją.

#### **Slucham.**

– Osobistą przykrość sprawiają mi wypowiedzi dyrektora Muzeum Powstania Warszawskiego Jana Ołdakowskiego, od którego zresztą co roku otrzymuję zaproszenie na uroczystości związane z obchodami rocznicy powstania. Twierdzi, że każdy udział w Holocauście był karany śmiercią przez Polskie Państwo Podziemne. Zdanie to w ogóle nie ma sensu. Słowo „Holocaust” nie było w czasie wojny w ogóle używane. Co to zatem znaczy „udział w Holocauście”?

Są też ludzie, którzy kwestionują istnienie karuzeli na placu Krasińskich.

**Wydawało mi się, że każdy wie o karuzeli tuż przy murze getta, na której kręcili się warszawiacy, gdy Niemcy pacyfikowali żydowskie powstanie.**

– Sama mogę zaświadczyć o istnieniu karuzeli. W 1943 r. pracowałam przy ulicy Świętojerskiej, przez którą przebiegał mur getta. Codziennie jeździłam tramwajem z placu Krasińskich. Na placu Niemcy ustawili karuzelę i huśtawki. Grała koszmarna jarmarczna muzyczka. Na przystankach czekały grupki zabiedzonych i przestraszonych ludzi, stałam w takim tłumku. Znad murów getta unosił się dym i słychać było pojedyncze strzały i krzyki, a na huśtawkach siedziały różne osoby. Dobrze zapamiętałam zwłaszcza dziewczynę w kwiecistej sukience, śmiała się głupkowato. Po placu biegali szaulisi, litewscy policjanci – olbrzymie chłopcy w czarnych mundurach, z długimi pałkami policyjnymi. Przystawali przy przystankach i przyglądali się ludziom. Jeśli ktoś coś szepnął albo zrobił niewłaściwą minę – dostawał pałą po głowie.

**Rozmawiałam z kobietą, która mieszkała niedaleko, opowiadała, że poczucie bezradności było nie do zniesienia.**

– Co można było zrobić? Widziałam z balkonu kamienicy moich rodziców na Sadybie kłęby czarnego dymu. Straszne to było, nie ma co mówić. Nie mieści mi się w głowie, że dziś ci młodzi wnoszą antysemickie hasła. Taka potworność, jaka się zdarzyła, powinna ludzi raz na zawsze odczyścić takich rzeczy.

#### **Pani bliscy pomagali Żydom?**

– Tak, ale to było naturalne. Wśród mojej rodziny, bliskich i przyjaciół było sporo osób pochodzenia żydowskiego. Wielu z tych ludzi przetrwało wojnę dzięki pomocy i wsparciu polskich rodzin. Przed wojną w Warszawie żyli ludzie wyznający judaizm i zapisani w gminach żydowskich, ale także bardzo dużo osób pochodzenia żydowskiego, które wcale się za Żydów nie uważały. Dopiero Niemcy wcisnęli im to do głowy. Często ci ludzie w dokumentach mieli wyznanie protestanckie albo katolickie, bo przed wojną trzeba było mieć jakieś wyznanie, choćby po to, by się pobrać. Tylko w Poznańskim udzielano ślubów cywilnych. Mnóstwo tych „nowych” Żydów przeżyło okupację w Warszawie. Pomagali im Polacy, za pieniądze i za darmo. Oczywiście, byli donosiciele i szmalcownicy, ale trzeba znać proporcje.

#### **Czyli?**

– Opowiem pani jedną historię, żeby pokazać paradoksy tamtej rzeczywistości. Dziadek ze strony mamy budował kolej Moskwa – Odessa i gdy przeszedł na emeryturę, zamieszkali z babcią w Warszawie, w secesyjnej kamienicy przy Smolnej. Zaraz na początku wojny dziadek zmarł na zapalenie płuc i babcia została sama, bez środków do życia w pięciopokojowym mieszkaniu. Jakimiś drogami trafiła do organizacji Żegota i poprosiła o żydowskich lokatorów, którzy mogą zapłacić, by miała z czego żyć. Zamieszkali w dwóch frontowych pokojach – w jednym małżeństwo, w drugim mężczyzna.

Oprócz nich mieszkały u babci inne osoby, w tym wielu Żydów, których gościła za darmo. Któregoś dnia mój kuzyn spotkał na ulicy grzebiącego w śmietniku chłopaka w swoim wieku, osiemnasto- czy dziewiętnastolatka, i zaprowadził go na Smolną. Babcia powiedziała: „Ależ on musi być strasznie głodny!”, no i został. Uciekł chyba z łódzkiego getta, był w takim stanie, że nie pamiętał, jak się nazywa, został >>

więc Stefanem. Potem dostał fałszywe papiery, poszedł do pracy i zaczął studiować na tajnym uniwersytecie. Przeżył i został wybitnym filozofem. **Pani mówi o Stefanie Morawskim, ale małżeństwo z frontowego pokoju także nie było tuzinkową parą.**

- Czy to wówczas było małżeństwo - raczej nie. Ona była bardzo bogata i nazywała się Zofia Cybulska, on - Aleksander Weissberg, potem przyjął nazwisko żony. Był wiedeńczykiem, wybitnym fizykiem i komunistą. W latach 30. wyjechał do ZSRR i tam oczywiście został aresztowany. Mimo że osobiście bronił go Albert Einstein i wielu innych naukowców światowej sławy, uratował go dopiero pakt Ribbentrop-Mołotow. 5 stycznia 1940 r. na moście granicznym w Brześciu oficerowie NKWD przekazali kolegom z gestapo grupę kilkudziesięciu komunistów i socjaldemokratów niemieckich i austriackich. Wśród nich był Weissberg.

Gdy zamieszkał u babci, odwiedzali go jego znajomi, Żydzi, aż któregoś dnia przyszła dozorczyńca i mówi do babci: „Pani inżynierowo, czy pani się nie boi? On tak wygląda na Żyda i tacy ludzie tu przychodzą...”. „Moja Józefowo, bez woli Bożej włos nam z głowy nie spadnie - powiedziała babcia. - Przecież to wszystko jedno, czy jest jeden czy osiemnastu”.

#### Rzeczywiście było ich tak dużo?

- Nieraz były takie tłumy, że ludzie spali na kanapie, materacach, fotelach. To byli przeważnie nasi znajomi. Poza tym mój brat trzymał u babci na antresoli arkusze znaczków - wyglądały jak pocztowe, tylko było tam napisane „Hitler kaput”. Jak ktoś z nas wychodził, to brał parę sztuk i przyklepał, gdzie się dało. Na stosie znaczków z „Hitler kaput” leżał pistolet. Kiedyś moja babcia chciała po coś sięgnąć na antresoli i zamiast tego wyjęła pistolet. Patrzymy, a babcia mówi: „O, parabellum!” - i odłożyła go na miejsce. Była niesamowita.

w sąsiednich domach. Oczywiście światła nie było i wszyscy siedzieli przy karbidówkach. Podczas jednego z takich turniejów nie zastłonili dobrze okien od strony ulicy. Żydzi grają, a my, pozostali goście babci - rodzina i znajomi - siedziemy przy jednym długim stole i jemy obrzydliwą kaszę „plujkę” okraszoną czarnym olejem i przegryzamy chlebem, wypiekany z mąki, do której dodawano zmieszanych kasztanów. Popijamy to erzac herbaty, a brydżyści delektują się bardzo smacznie pachnącym kalaflorem. No i ktoś zaczął walić w drzwi kuchenne - patrol Niemców przyszedł upomnieć, że od ulicy widać światło. Zamarliśmy, a babcia powitała ich serdecznie pięknym niemieckim i powiedziała: „Biedaki wy moje, jacy wy musicie być zmęczeni tą służbą! Proszę bardzo, siadźcie w kuchni”. Poczęstowała ich tą okropną herbatą i zaczęła pytać o rodziny. To trwało z piętnaście, dwadzieścia minut. Siedzieliśmy szywni, modląc się, żeby Żydom się czegoś nie zachciało.

Wszyscy lokatorzy babci przeżyli wojnę i powstanie. Opowiadam to po to, by pokazać, że życie w okupowanej Warszawie miało tyle smaków i odcieni, że mocno nie w porządku jest to osądzanie, które odbywa się obecnie. Jakbyśmy w ogóle nie odrobili tej lekcji, jaką dała nam historia.

#### Może to, co się przytrafiło, jest ponad ludzką miarę.

- Mnóstwo rzeczy, które wówczas miały miejsce, było ponad ludzką miarę. Nieprawdopodobne cudowne ocalenia, odnalezienia się, niezwykle zbiegi okoliczności. To pokazuje, jak materia życia jest skomplikowana. Opowiem ostatnią już

*Zapamiętałam także taką chwilę - stoję na łące i myślę: „Nie mam nic, nie mam domu, nie mam rodziców, znajomych, nie wiem, co się z nimi dzieje, pewnie nie żyją, nie mam pracy, pieniędzy, tylko letnią sukienkę na sobie”. Szczęście, bo znalazłam Staszka, ale też kompletna niewiadoma, jak dalej potoczy się życie*

#### A Weissberg po wojnie wydał głośną autobiografię „Wielka czystka”, w której opisał czasy wielkiego terroru w ZSRR.

- Proszę sobie wyobrazić człowieka, który wygląda jak Żyd z karykatury - haczykowany nos, mięsiste wargi, kręcone czarne włosy - i nie mówi po polsku. Od czasu do czasu dostawał ataków szału z nudów, tupał nogami jak dziecko i wrzeszczał. Wtedy Cybulska mówiła: „Dobrze” i wyciągała z szafy podszyty futrem płaszcz i fałszywy argentyński paszport. Wołano dorożkę, oni brali się pod ręce, schodzili z wielką pewnością siebie i jechali na spacer.

#### Dokąd?

- W Aleje Ujazdowskie i Szucha, tam, gdzie była siedziba gestapo. Nigdy ich nikt tam nie zaczepił. Wyobraża pani sobie coś podobnego?

Oni byli bardzo zamożni, udało im się sporo ocalić, mieli „świnki”, czyli złote pięciorublowki, oraz szklane próbówki, w których trzymali brylanty. Jedną z moich kuzynek, która też mieszkała na Smolnej, uwielbiała sprzedawać te brylanty. Pamiętam, jak Cybulska pęsetką wyjmowała brylant i dawała mojej kuzynce, która pędziła do Adrii na róg Moniuszki i Marszałkowskiej, gdzie zbierali się wszelkiego rodzaju waluciarze. Potem Cybulscy kazali sobie gotować niesłychanie smaczne rzeczy - jakieś nowalijki, mięsa. Normalnie strasznie się nudzili.

#### Nudzili?

- Jak się człowiek ukrywa, to bardzo się nudzi, a Żydzi siedzieli latami w kryjówkach. U mojej babci organizowano wieczorki i noce brydżowe na pięć, sześć stolików. Przychodzili na nie Żydzi, którzy ukrywali się

anegdotę. Zaraz po wojnie na ulicy w Gdańsku, gdzie mąż miał wygłosić kilka wykładów, spotkaliśmy małżeństwo pochodzenia żydowskiego. Byli to nasi dobrzy znajomi z Warszawy, przeżyli tu wojnę i powstanie. On był bardzo dobrym prawnikiem i gdy w Gdańsku zaproponowano mu pracę, przenieśli się. W Gdańsku-Wrzeszczu dostali domek z całym wyposażeniem. Zaprosili nas na herbatę i właśnie przyjaciółka tłumaczyła mi, że nie czuje się w tym domu najlepiej, bo po dawnych lokatorach wszystko zostało nienaruszone, jakby ci ludzie wyszli przed chwilą. Czy pani uwierzy, chwilę później rozległo się stukanie do drzwi! Za progiem stała stara kobieta, Niemka. Okazało się, że to właścicielka domu. Przyszła, bo bardzo jej zależało na zabranii zdjęć. Wpuścili ją, zabrała pamiątki i znikła. Co ma właściwie czuć człowiek po takich zdarzeniach? Co myśleć? Można uwierzyć w cuda. Prawda?

#### A co pani myślała, gdy po powstaniu spotkała narzeczonego?

- Byłam szczęśliwa. Ale zapamiętałam także, że stoję na łące w Milanówku i myślę: „Nie mam nic, nie mam domu, nie mam rodziców, znajomych, nie wiem, co się z nimi dzieje, pewnie nie żyją, nie mam pracy, pieniędzy, tylko letnią sukienkę na sobie”. To było szczęście, że znalazłam Staszka, ale też kompletna niewiadoma, jak dalej potoczy się życie.

Staszek opiekował się swoją matką na Filtrowej i Niemcy wywieźli ich do obozu w Pruszkowie. Znajomi pomogli im

uciec; trafili do krewnych w Milanówku, który pękał od warszawiaków. Kuzynka mamy Staszka z mężem adwokatem wynajmowali małą mieszkanie i przyjmowali wszystkich, więc była tam masa ludzi. Rano wszyscy się rozbiegali – trzeba było zdobyć coś do jedzenia, dowiedzieć, co się dzieje na świecie, odszukać znajomych. Wieczorem się schodziliśmy, gospodarze wstawiali do przedpokoju długi stół, wykładali po kawałku kartkowego chleba i kawę zbożową, a każdy kładł, co zdobył. Ktoś miał cebulę, inny dwa kawałki białego chleba, inny słoninę. Był straszny harmider, wszyscy naraz chcieli powiedzieć, co przeżyli.

Do dziś w moim domu funkcjonuje powiedzenie: „ja należę do cebuli”, bo przy tym stole pytan: „a kto należy do słoniny?”, itd. Któregoś dnia ciocia Staszka oznajmiła: „mój syn dziś zje jajko”. Zapadła głucha cisza i przyniesiono mu jajko w kieliszku. Postukał łyżeczką w kompletnej ciszy i spokojnie je zjadł. Wszyscy patrzyliśmy na to w milczeniu. Nasze oczy jadły razem z nim.

#### **Wkrótce ruszyliście dalej.**

– Staszek sobie przypomniał, że jego znajomy ma jakiś mająteczek koło Rawy Mazowieckiej. Ruszyliśmy, mając zamiar po drodze wziąć ślub. W dwóch kościołach nas przepędzono psami, że my chyba zwariowaliśmy, bo nie mamy ani dokumentów, ani pieniędzy, a w ogóle co nam do głowy przyszło?! Ale w trzecim, w Tarczynie, był strasznie miły ksiądz, który dał nam ślub.

Majątek znajomego był już dawno zajęty przez Niemców, ale ja przypomniałam sobie, że przecież SGGW ma w Skierniewicach Instytut Warzywnictwa. Poszliśmy tam – dyrektorem był znajomy taty, profesor Emil Chroboczek, niesłychanie przyzwoity człowiek. Przyjmował absolutnie każdego warszawiaka, który się zjawił, więc oczywiście były u niego tłumy ludzi. Nie tylko dali nam dach nad głową – raz dziennie dostawialiśmy jakiś makaron, chyba z marmoladą, oprócz tego trochę pieniędzy i – najważniejsze – dokument z meldunkiem poza Warszawą. Każdego, kto był zameldowany w stolicy, od razu aresztowano i kierowano do obozu przejściowego, a potem najczęściej do Oświęcimia.

#### **A co się działo z pani rodzicami?**

– Po powstaniu na Sadybie były straszne walki i wywieziono ich przez Pruszków do Oświęcimia. Tata stamtąd trafił do Litomierzyc w Czechach i tam umarł na tyfus, ale zanim zmarł, napisał właśnie do profesora Chroboczka, nie mając żadnej absolutnie nadziei, że dostanie jakąś odpowiedź. Profesor, jak dostał ten list, to mnie zawał i powiedział: „Masz list od swojego ojca”. Zdołałam napisać mu, że żyję i wyszłam za mąż. Jeszcze dwa listy zdołaliśmy wymienić, zanim zachorował.

Mama została w Oświęcimiu. Słałam listy w różne miejsca, także tam. Któryś trafił do kancelarii obozowej, gdzie pracowali więźniowie, którzy znali niemiecki. Jeden z nich otworzył kopertę i okazało się, że zna moją matkę. To był czysty przypadek. Poznał ją w jakimś baraku. Przekazał jej list, więc wiedziała, że żyję. Gdy zaczęła się ewakuacja obozu, przed samym jego uwolnieniem przez Rosjan mama uciekła. W rowie przysypała się śniegiem i przeczekala. Któregoś dnia w tych Skierniewicach drzwi się otwierają i wchodzi moja mama. Myślałam, że to duch.

#### **Wróciście do Warszawy?**

– Nie od razu. Najpierw Staszek habilitował się w Krakowie, potem dostał pracę na Uniwersytecie Warszawskim.

#### **Zamieszkaliście w tym samym mieszkaniu na Sadybie.**

– Ocalało. Gdy po wojnie ludzie zaczęli wracać do Warszawy, mnóstwo osób było spoza miasta. Przyjeżdżali w poszukiwaniu lepszego życia, mimo że Warszawa była zniszczona w 80 procentach. Często gdy wracali prawowici właściciele, nie było już dla nich miejsca. Władze do rozwiązania tego problemu zabierały się niemrawo, w końcu ustalono, że pierwszeństwo mają ci, którzy zamieszkali ostatni.

#### **Ostatni?**

– Tak, ci, którzy mieli najświeższy meldunek. Bywało bardzo nieprzyjemnie. Po domach chodzili inspektorzy z kwaterunku i sprawdzali. Ja

kiedyś takiego wyrzuciłam, dosłownie kopniakami, ze schodów. Wszedł do mieszkania i zaczął zakładać plomby, oznajmił, że mieszkanie zostanie zajęte. Złapałam go za kark i kopnęłam tak, że spadł ze schodów. Innym razem weszła kobieta, postawiła walizkę i powiedziała, że ona teraz będzie tu mieszkać. Wyrzuciłam walizkę ze schodów, aż się rozsypała. Kobietę wypchnęłam. Chwilami było jak na Dzikim Zachodzie, człowiek musiał się bronić rękami i nogami, żeby cokolwiek ocalić.

#### **Warszawa zmieniła się bardzo?**

– Wszystko się wymieszało. Warszawa przed wojną wyglądała zupełnie inaczej, i nie chodzi mi o budynki, bo to oczywiste, ale o charakter dzielnic.

Opowiem pani, co widziałam, jadąc tramwajem od siebie z Sadyby na Leszno. Miałam 16 lat i podczas wakacji pracowałam tam jako wolontariuszka w pogotowiu. Tramwaj najpierw jechał Czerniakowską. Wyglądała tak, jak opisuje Grzesiuk – to była dzielnica biedy, rynsztok ciągnął się wzdłuż ulicy, dzieci na bosaka, wydęte brzuszki. Bawiły się fajerkami, które toczyły pogrzebaczem, strasznie hałasując. To był typowy obrazek z ulicy Czerniakowskiej. Po bramach wystawali faceci w kaszkietach wciśniętych na głowy – wyglądali groźnie. Oni do tych tramwajów nie wsiadali, poza Czerniaków za często nie wychylali nosa.

Potem tramwaj wyjeżdżał ulicą Książęcą na Nowy Świat – a tam Paryż. Jak tam było bogato i pięknie! Stały tam secesyjne kamienice, bardzo eleganckie. Na parterach – wytworne restauracje i sklepy. Pięknie ubrani ludzie, jeździły samochody, ale także eleganckie dorożki. Potem tramwaj skręcał w ulicę Królewską, tam było pustawo, ale nadal elegancko. Dalej była ulica, która dzisiaj nazywa się Jana Pawła II – tam był plac Żelaznej Bramy. Stała tam naprawdę olbrzymia żelazna brama – w dzień oba skrzydła były otwarte, a po obu stronach były magazyny z czerwonej cegły.

#### **Zaczynała się dzielnica żydowska?**

– Tak. Wrzask było słychać z daleka. Za bramą stały olbrzymie wozy konne przeznaczone do transportu towarów, zaprzężone w perszerony, i uwijali się tragarze, polscy i żydowscy. Klócili się i nawoływali. Tam zaczynał się inny świat. Po pierwsze, życie i handel toczyły się na ulicy – strasznie wrzaskliwe. Żydówki w perukach sprzedawały z beczki śledzie i bułki z kosza. Nawet fryzjer wystawiał krzesło i strzygł na dworze, wrzeszcząc do kolegi po drugiej stronie ulicy. Chmary ślicznych dzieci – z kędziorami i tymi wielkimi, ciemnymi oczami – biegały z pajdami bułki czy chalki posmarowanej miodem. Kilka razy wpadły na mnie i moja sukienka cała była klejąca. Tramwaj jechał wolno, bo na ulicy był ruch, więc stale ktoś wskakiwał i wyskakiwał. Napisy na sklepach były po żydowsku, czasami dodatkowo po polsku.

Potem wyjeżdżało się na Stare Miasto. Tam też byli Żydzi, ale znacznie mniej. Było opanowane przez rzemieślników: szewców, krawców, piaskarzy. Chociaż ci ostatni mieszkali głównie na Powiślu, które wyglądało, tak, jak opisywał je Prus w „Lalce” – bieda była straszna. Wzdłuż rzeki stały szopy, w których trzymano konie i wozy. Jak przychodziła wiosna, piaskarze nabierali z dna Wisły mułu, jeździli po dzielnicach willowych i sprzedawali go do ogrodów. Nadal pamiętam nawoływania: „Piasku białego wiślanego, piasku, piasku, piasku...”.

Tamto miasto znikło zupełnie. ●